



**You have downloaded a document from
RE-BUS
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: "Zajmować się nauką w sposób wolny" : z dr. Arturem Szczepańskim rozmawia Katarzyna Szkaradnik

Author: Katarzyna Szkaradnik

Citation style: Szkaradnik Katarzyna. (2015). "Zajmować się nauką w sposób wolny" : z dr. Arturem Szczepańskim rozmawia Katarzyna Szkaradnik. "Przegląd Socjologiczny" (T. 64, nr 4 (2015), s. 153-168).



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIWERSYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

**„Zajmować się nauką w sposób wolny”.
Z dr. Arturem Szczepańskim
rozmawia Katarzyna Szkaradnik***

*Pamięci prof. Jana Szczepańskiego
związanego z Uniwersytetem Łódzkim w latach 1945–1970*

Rozpocznijmy chronologicznie, od Pańskich najwcześniejszych wspomnień związanych z rodzicami. Jak daleko sięga Pan pamięcią, tak by już rysował się w niej ich obraz?

Byłby to Wiedeń, czasy wojny. Z Ustronia¹ moja pamięć zachowała obraz nie tyle rodziców, ile mojej mamki, czyli krowy Neli, i samolotu, który tam akurat kiedyś nisko przeleciał. Ale rodziców zapamiętałem w Wiedniu, bombardowanym przez aliantów w 1944 roku, co stało się zresztą przyczyną naszego rozstania. Jednak zanim ono nastąpiło, było bardzo ciekawie, bo w czasie bombardowań dorośli się bali, pędziliśmy do piwnicy, co dla małego dziecka przedstawiało się nadzwyczaj atrakcyjne. Pamiętam też, że ojciec, który pracował wtedy jako tokarz w fabryce produkującej pompy i rozmaite części², między innymi do U-Bootów, przyniósł mi pewnego razu kilka wytoczonych przez siebie pierścieni z kolorowego metalu, chyba z brązu. Wyniósł je niewątpliwie z narażeniem życia, a mnie one nie wydały się jako zabawki wcale atrakcyjne, co musiało być dla niego rozczarowaniem. Ale wówczas, oczywiście, nie potrafiłem zrozumieć tego poświęcenia.

* Mgr, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Wydział Filologiczny, Instytut Nauk o Literaturze Polskiej, Zakład Historii Literatury Poromantycznej; e-mail: kasiorek1987@tlen.pl

Wywiad został przeprowadzony w ramach projektu finansowanego ze środków Narodowego Centrum Nauki przyznanych na podstawie decyzji nr DEC-2012/07/N/HS2/00966.

¹ Czyli z wcześniejszego okresu; Artur Szczepański urodził się w Ustroniu (rodzinnej miejscowości swojego ojca) na Śląsku Cieszyńskim 26.10.1940 r.

² Jan Szczepański od lipca 1942 r. pracował w „Garvenswerke”, czyli Zakładach Garvensa – wiedeńskiej fabryce pomp i silników, powstałej w 1910 r.

Czterolatek nie uświadamiał sobie też zapewne powodów rozłąki, jaka nastąpiła wkrótce potem³. Pozwolę sobie zacytować słowa zanotowane przez Pańskiego ojca po kilku miesiącach Pana pobytu u małżeństwa Krausów: „Artur znalazł w Payerbachu więcej, niż mogli mu dać rodzice wracający wieczorem z pracy zmęczeni, rozgoryczeni i zdenerwowani. Ale między obcymi Artur odczuł swoje przywiązanie do rodziców, z którego może dopiero słysząc inne dzieci mówiące o własnych rodzicach, zdał sobie sprawę”⁴.

Pamiętam jeszcze z czasów wojny – co zresztą ojciec też odnotował w swoim dzienniku – że żałował pozostawienia mnie w tym Payerbachu. Tak, wtedy nie rozumiałem tej sytuacji, ale oczywiście rodzice chcieli jak najlepiej, dbali o moje bezpieczeństwo przede wszystkim, no i akurat w tym jednym momencie przedobrzyli. Trzeba pamiętać, że nie możemy wiedzieć, która decyzja z dalszej perspektywy okaże się trafna – w przypadku układów złożonych racjonalne decyzje bywają równie nieracjonalne jak te emocjonalne.

Słyszę tu już echa Pańskiego wykształcenia fizycznego, ale na razie chciałabym pozostać przy tym, jak wyglądały w tamtych najwcześniejszych latach Pana kontakty z ojcem.

W gruncie rzeczy główny kontakt miałem wówczas z babką, bo i mama⁵, i ojciec pracowali, więc zdarzały się tylko krótkie chwile, kiedy wszyscy byli w domu. Natomiast takie pierwsze poważniejsze kontakty, już po wojnie, polegały na spacerach niedzielnych, będących pewnym naszym rytuałem. W czasie tych spacerów ojciec opowiadał mi zwykle o Indianach Ameryki Północnej, nigdy nie mówiąc wprost, jak to trzeba być uczciwym, dzielnym, dotrzymywać słowa, ale pokazując, że ci Indianie właśnie byli prawi, że byli nosicielami tych przymiotów i realizatorami tych wartości. W przeciwieństwie do Białych, których na Dzikim Zachodzie reprezentowali poszukiwacze złota, awanturnicy, pijacy i różnego rodzaju szumowiny.

³ Ze względu na bombardowania stolicy Austrii Szczepańscy postanowili umieścić syna w wiosce Payerbach, u rodziny ich wiedeńskiej sąsiadki. Wiosną 1945 r., kiedy w okolicy rozpoczęła się ostatnia ofensywa aliantów, wielu miejscowych – w tym także Krausowie z powierzonym im Arturem – zasiłowało rzesze uciekinierów przed Armią Czerwoną. Z powodu braku jakichkolwiek wiadomości o synu Jan i Eleonora Szczepańscy wraz z babką chłopca rozpoczęli poszukiwania na ogromnym obszarze (Waidhofen, Amstetten, Linz, Salzburg, Innsbruck), tułając się między obozami dla wychodźców.

⁴ J. Szczepański, *Dzienniki z lat 1935–1945*, Ustroń 2009, s. 188–189.

⁵ Eleonora Odlanicka-Poczobut (1914–2004), żona Jana Szczepańskiego, poznana przez niego w czasie studiów w Poznaniu; posiadała liczne talenty artystyczne: malowała, rzeźbiła, tworzyła poezję, pisała książki dla dzieci.

A zatem słynne zamilowanie Jana Szczepańskiego do kultury i historii Indian kwitło już zaraz po wojnie? Dopytuję, ponieważ jego książki na ten temat powstawały później⁶.

Książki powstawały później, ale teraz sam widzę, że te zainteresowania stanowią przykład na to, jak pewne lektury z dzieciństwa pozostają głęboko zakorzenione, jak ważnym okazują się doświadczeniem i inspiracją. Chodzi mi tutaj o powieści Karola Maya, które zapewne pod względem wartości literackich są niewiele znaczące, ale pamiętam, że do późna stanowiły ulubioną lekturę relaksacyjną ojca.

Skoro mówimy o wczesnych wspomnieniach i ich wadze i skoro sam Pan napomknął o Ustroniu, to jak zapamiętał Pan to miasteczko, a raczej wtedy jeszcze wioskę?

Po naszej przeprowadzce do Warszawy⁷ te pobyty siłą rzeczy stały się rzadsze, ale kiedy mieszkaliśmy w Łodzi, to do Ustronia, oczywiście, jeździło się na wakacje. Ojciec pomagał w gospodarstwie starzyka⁸, z czym wiąże się słynna anegdota o studentach, którzy zastali go – wtedy rektora Uniwersytetu Łódzkiego – przy tej pracy w polu. A że prowadzili badania, to, nieświadomi niczego, wypytywali go podobnie jak innych gospodarzy. Ta anegdota ma wiele wersji, ale idea najogólniej była taka, że ojciec się tej pracy nie wstydził, a tamtą pracą na uniwersytecie się nie chwalił.

A w jaki sposób Pan spędzał czas w Ustroniu?

Jak to dziecko, przeważnie na zabawach. Głównym towarzyszem tych zabaw był mój nieco młodszy kuzyn Jurek, syn cioci Ancy Gluzowej, a oprócz niego Haneczka, czyli „Biba”. Lila, jako dużo starsza, była poza tą gromadką, z „drobiazgiem” już się nie zadawała⁹. Z Jurkiem stanowiliśmy utrapienie dla dorosłych, bo ciągle mieliśmy jakieś szalone pomysły. Ale to był nasz świat, ojciec przewijał się w tle. Oczywiście, pamiętam gospodarstwo starzyka, gdzie też wieczorami kręciliśmy korbą sieczkarni, żeby ciąć trawę dla krów. W czasie żniw kręciliśmy korbą przy wialni, która ziarno oddzielała od – bezcennych te-

⁶ Wzmianka dotycząca omawiania książki o Indianach z wydawnictwem „Czytelnik” pojawia się w dziennikowej notatce z początku 1954 r.; *Czarne wampuny głoszą wojnę* ukazały się po raz pierwszy w 1958 r., *Dopóki trawa rośnie, dopóki rzeki płyną* – w 1972 r.

⁷ Nastąpiła ona w 1963 r.

⁸ Chodzi o ojca Jana Szczepańskiego, Pawła (starzyk – w gwarze cieszyńskiej ‘dziadek’).

⁹ Chodzi o dzieci starszej siostry Jana Szczepańskiego, Anny Gluzy (zwanej zdrobniale „Anci”), czyli Jerzego, Annę i Lidę.

raz jako bardzo zdrowe – plew. To świetnie pamiętam i mam „fotografie” z tego wszystkiego w głowie, jednak mało jest na nich moich rodziców.

Pamiętam, jak kiedyś podczas wakacji mieliśmy spędzić razem popołudnie, ale ostatecznie oni pojechali do Wisły, do Wantułów¹⁰. Ja się zbuntowałem, można powiedzieć: uciekłem z domu, pojechałem tam na rowerze i udało mi się – chociaż byłem pierwszy raz w Wiśle – trafić do domu Wantułów. Kiedy się pojawiłem, to była wielka radość – z mojej strony, że ich znalazłem, a rodzice byli pewnie dumni, że tam zajechałem. Ale to takie pojedyncze przeblyski, żadnych dłuższych kontaktów z ojcem w Ustroniu nie miałem, bo on rzeczywiście cały czas pracował, a jeśli nie pracował, to wypoczywał. Bywało jednak, że chodziliśmy na Równicę, robiliśmy wycieczki na Żor do Pieniężnej Dziury¹¹...

Co prawda trochę zaburzy nam to chronologię, jednak może zahaczę od razu o kwestię aktywności fizycznej. W jednym ze wspomnień studentów Pańskiego ojca przeczytałam, że na Uniwersytecie Łódzkim wziął udział w mistrzostwach akademickich pod szumnym i znamiennym dla tamtych czasów hasłem: „Sprawny do pracy i obrony” i zdobył jedno z czołowych miejsc, dzięki czemu został wręcz idolem studentów¹². W dziennikach często relacjonuje swoje wędrówki górskie. Czy starał się zaszczepić w Panu pasję do sportu?

Wie pani, poważniejsze wędrowanie po górach nie wchodziło w grę, bo strasznie bolał mnie brzuch. Wzięło się to stąd, że kiedy po wojnie byłem na wakacjach u babki w Kościanie¹³, któregoś razu po obiedzie chłopcy zeskakiwali z murku i ja też skoczyłem – z pełnym żołądkiem. Od tego czasu bardzo mnie bolało, ale nie robiono wtedy USG, chirurg wykluczył zapalenie wyrostka, więc brzucha nie otwierano. W końcu przestało boleć i dopiero po latach, kiedy miałem wypadek i lekarze zajrzeli do środka, okazało się, że coś tam się zdeformowało. Ale ten jeden nieudany skok właściwie wyłączył mi na całą młodość pewne aktywności, to znaczy rytmiczne ruchy – biegi na dłuższych dystansach, skoki czy schodzenie z gór. Za to bardzo lubiłem jeździć na rowerze, nawet kiedyś po maturze przejechaliśmy z kolegą na rowerach z Łodzi do Ustronia – prawie 300 kilometrów.

¹⁰ Mowa o ks. Andrzeju Wantule (kuzynie Jana Szczepańskiego, późniejszym biskupie Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w PRL) i jego żonie Julii. Od 1948 do 1956 r. ks. Wantuła był proboszczem w Wiśle.

¹¹ Równica i Żor to wzniesienia nieopodal rodzinnego domu Szczepańskich, z Pienięzną Dziurą wiąże się lokalne podanie o diable, który suszy tam złoto w Wielki Piątek.

¹² Zob. M. Jarosz, *Mistrz i nauczyciel* [w:] *Jan Szczepański – humanista, uczony, państwowiec. Księga wspomnień*, red. J. Kulpińska, Warszawa 2005, s. 247.

¹³ W tym wielkopolskim mieście mieszkała teściowa Jana Szczepańskiego, Wanda Natalia Odlanicka-Poczobut.

Rzeczywiście ładny wyczyn. Pozostawiając wobec tego sport na boku, zapytam, jak ojciec podchodził do Pańskiego wychowania. Tuż po Pana narodzinach czynił sobie w dzienniku pewne założenia¹⁴, ale później był bardzo zaabsorbowany...

Nie zajmował się mną. Oczywiście, gdy miał wolny czas, chodziliśmy na wspomniane już spacer, ale sprawa wychowania leżała głównie w rękach babci, bo mama także była zajęta pracą, studiami... *À propos*, akurat niedawno ktoś zbierał moje wspomnienia o Władysławie Strzemińskim, którego studentką była mama i którego świetnie pamiętam.

O, a w jaki sposób poznał Pan Strzemińskiego?

Często, kiedy nie było ze mną co zrobić, mama zabierała mnie do szkoły plastycznej¹⁵ i tam bawiłem się na podwórzu, chodziłem wtedy do pierwszej czy drugiej klasy. Kiedyś razem ze Strzemińskim wracaliśmy tramwajem do domu, a on, jak wiadomo, nie miał nogi, chodził o kulach. I kiedy wsiadaliśmy – patrzył na mnie, ale to miał być najwidoczniej występ przed szeroką publicznością – z diabolicznym uśmieszkiem odczekał, aż tramwaj ruszy, po czym wskoczył do jadącego tramwaju.

Właściwie nie wiem, jak to skomentować.

Wiadomo, że Strzemiński był – jakkolwiek to rozumieć – emocjonalnie nie zrównoważony, co przejawiało się głównie w jego stosunkach z żoną, która też była wielką artystką¹⁶. Bił ją, zachowywał się okropnie, to wszystko można przeczytać w pamiętnikach córki, czyli Niki, którą potem opiekowała się moja mama. Ale warto powiedzieć, że kiedy mój ojciec pojechał do Danii – jeszcze przed śmiercią „tego, co usta słodsze miał od malin”¹⁷ – to przywiózł dla Strzemińskiego komplet farb olejnych, bo w Polsce oczywiście wtedy takich farb nie można było dostać. Dzięki temu powstało kilka jego obrazów.

¹⁴ „Będziemy Cię wychowywali w chłodnej pogardzie dla nacjonalizmu, patriotyzmu, fanatyzmu i jakiegokolwiek zaślepienia, z którego powstają wojny, grabieże i orgie ślepej nienawiści. Będziemy Cię wychowywali w miłości dla piękna i mądrości, dwóch elementów wieczności w człowieku” – J. Szczepański, *Dzienniki z lat 1935–1945...*, s. 135.

¹⁵ Jej pełna nazwa w tamtym czasie brzmiała: Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych w Łodzi.

¹⁶ Chodzi o Katarzynę Kobro, w okresie międzywojennym wybitną rzeźbiarkę.

¹⁷ Aluzja do hasła: „Niech żyje nam towarzyszy Stali, co usta słodsze ma od malin!”. Jan Szczepański przebywał w Danii w 1947 r.

Napomknął Pan o towarzyszeniu mamie w szkole plastycznej, a zatem o jej artystycznej naturze. Jak Pan jeszcze wspomina mamę z wczesnego okresu swego życia?

Buntowaliśmy się z mamą przeciw domowej hegemonii babci, która jako była nauczycielka wprowadzała rygor i własne zasady... Ale muszę wyjaśnić, że miała dosyć skomplikowane życie, mianowicie była nieślubnym dzieckiem pewnego Rosjanina. Nazywał się Sazonow i był – co skrzętnie przede mną ukrywano – stryjecznym bratem ostatniego carskiego ministra spraw zagranicznych. Kiedyś podczas pobytu w Wiedniu uwiódł moją prababkę. Kłopot w tym, że on był żonaty, a ona była Szwajcarką, w dodatku pochodziła z francuskiej rodziny, która w czasie wielkiej rewolucji schroniła się w Genewie i przeszła na kalwinizm. Tamtejsi kalwiniści byli niesłychanie porządni, pilnowali moralnej nieskazitelności, tak więc fakt, że prababka miała nieślubne dziecko, oznaczał kompletną ruinę reputacji całej rodziny, ludzie na ich widok pewnie odwracali wzrok. Oczywiście trochę przesadzam, ale łatwiej zrozumieć, że kiedy umarła żona Sazonowa i on się jednak ożenił z matką mojej babki, to zamieszkali na jakiś czas w Moskwie. Babka już była dużą dziewczynką, gdy nagle znalazła się na innej planecie – cywilizacyjnie była to planeta o jakieś cztery orbity odległa od Genewy.

Taki przeskok w inną kulturę musiał odcisnąć na niej piętno.

To nie było jedyne jej ciężkie przeżycie. Pamiętam, jak kiedyś w czasie naszego pobytu w Ustroniu babka obierała kartofle, a starzyk powiedział: „Nó, mama jak obiyro zymnioki, to i ty, co sóm są jak boże krówki”. To dlatego, że po 1918 roku i po śmierci męża – który, *notabene*, nazywał się Poczobut-Odlanicki, był chirurgiem i umarł na tyfus, bo zaraził się w szpitalu od chorych¹⁸ – została bez środków do życia i musiała sobie sama radzić. Oczywiście wtedy, po wojnie, w ogóle panowała bieda, stąd to wykorzystanie nawet najmniejszego zymnioczka przez ludzi z miasta. A na wsi i te najmniejsze zymnioki, i obierki były dla babuciów¹⁹ przecież.

Prawda, tak czy inaczej, jedni i drudzy niczego nie marnowali. Zatem jak wyglądały te babcine porządki panujące w Pana rodzinnym domu?

Porządki babcine polegały na tym, że były ściśle określone procedury, zależności, prawa, żadnych odstępstw. A mama się przeciw temu buntowała i stanowiliśmy razem frondę. Ale z drugiej strony nie chciałem babci złościć, ponieważ czytała mi głośno i dbała o nasz – raczej o mój, bo siostra była dużo

¹⁸ Władysław Poczobut-Odlanicki był m.in. lekarzem w szpitalu w Radomsku.

¹⁹ Celowe użycie form gwarowych; babuś – ‘wieprzek, świnią’.

młodsza²⁰ – rozwój pod tym względem. Na wakacjach w Ustroniu rytuałem stało się czytanie przez babcię wszystkim dzieciom z rodziny, szczególnie *Trylogii*, i siedzieliśmy przez godzinę, słuchając z zapartym tchem – to była dla nas wielka atrakcja. Ojciec też od czasu do czasu nadstawiał ucha na Sienkiewicza...

Ciekawe, bo przecież w swoich książkach Pański ojciec często zarzuca Sienkiewiczowi, spopularyzowanemu przez niego stereotypom, negatywny wpływ na rozumienie przez Polaków swojej historii i tożsamości²¹.

Ma pani rację, ale jedno od drugiego było niezależne. Dla nas główną atrakcją *Trylogii* była fabuła i nadzwyczajna przygodowość, a na sprawy historyczno-społeczno-ideowe dzieci nie zwracały uwagi. I kiedy ojciec się przysłuchiwał, to też dawał się uwieść fabule, ale potem musiał pogodzić się z tym, co mu dyktowała wiedza.

Klasyczny przykład konfliktu serca i rozumu... Skoro mówimy o książkach, powróć do tych o Indianach, które pisali Pana rodzice. Czy w okresie, kiedy oboje intensywnie nad nimi pracowali, ta indiańska atmosfera była w domu jeszcze bardziej odczuwalna?

Przez moją matkę te powieści dla dzieci traktowane były po części zarobkowo – *notabene*, nasza działka z domem w Konstancinie została kupiona za dwa honoraria autorskie, a teraz metr kwadratowy kosztuje jakieś astronomiczne sumy. Ale mimo takiego traktowania te książki musiały spełniać określone warunki: były pisane w najlepszej wierze i przemyślały kawałki porządnej wiedzy etnohistorycznej. No i wspomniane wcześniej aspekty wychowawcze, ale to wynikało z osobistej postawy autorów, którzy starali się promować pewne wartości.

Jeżeli babka dbała o Pański rozwój czytelniczy, a matka zabierała Pana z sobą do szkoły plastycznej, to można by się spodziewać, że pójdzie Pan w stronę dyscyplin artystyczno-humanistycznych... Czy brał je Pan kiedykolwiek pod uwagę, czy jednak od dzieciństwa pociągały Pana nauki ścisłe?

Pociągało mnie majsterkowanie. Ojciec – co pamiętam i co zawsze budziło moje zdumienie – miał do drobnych napraw domowych dwie lewe ręce. Na przykład elektrycznością, korkami itd. zawsze zajmowała się moja matka.

To zaskakujące – drobna, filigranowa kobieta, którą on nazywał „Maleńką”...

Tak. A co do „Maleńkiej”, muszę powiedzieć, że stosunki między nimi były autentycznie – to nie był żaden teatr dla dzieci – niezwykle serdeczne i czułe.

²⁰ Ewa Szczepańska urodziła się w 1948 r.

²¹ Zob. np. J. Szczepański, *Wizje naszego życia*, Warszawa 1995, s. 75, 198.

Czy w związku z tą zażyłością mieli jakiś własny sposób komunikacji, taki prywatny szyfr, albo rytuały, które pielęgowali?

Mieli specjalny sposób zwracania się do siebie. Oczywiście nie przy każdej okazji, ale czasem w sytuacjach prywatnych, i między innymi stąd wnioskuje o tym ciepło w ich stosunkach.

W wywiadzie przeprowadzonym pod koniec życia Pańskich rodziców można przeczytać o swego rodzaju wspólnym przesądzie obojga, że jeśli pewna rzecz przetrwa, to będzie dobrze²². Tą rzeczą, tym symbolem była ich maszyna do pisania...

I ona przetrwała do dzisiaj, teraz znajduje się w Muzeum Ustrońskim. Nazywała się „Erica”, dostali ją z okazji ślubu²³ od mojej babki. To była maszyna przenośna, o wiele większa niż są teraz przenośne komputery, ale mieściła się w takiej walizeczce. Pamiętam, że była pokryta ciemnoczerwonym tworzywem i że właściwie się nie psuła. Wtedy tak rzeczy produkowano, nie dbając o miejsce pracy... [śmiech] Ojciec miał tę „Ericę” zawsze przy sobie, tylko oprócz wędrowki po Austrii, kiedy – że tak powiem – puścili się z mamą w pogoń za mną. Maszyna została w Wiedniu, tam gdzie mieszkali. Potem na szczęście ją odzyskali, natomiast wszystkie ubrania i różne inne rzeczy, które pozostawili, przepadły. Jak powiedziała *Frau Steidl*, która była właścicielką tego mieszkania: „*Die Motten zerfressen alles*”. Mole wszystko zżarły. Chociaż prawdopodobniejsze wydaje mi się, że „Erica” przeczekała wojnę w Kościanie.

Czyli większość swoich tekstów Pański ojciec napisał na tej maszynie?

Wszystko, co pisał, pisał na niej, no chyba, że był na uniwersytecie, wtedy pewnie dyktował sekretarce, ale to były raczej urzędowe pisma, on tam ani książek, ani artykułów nie tworzył. Swoje rzeczy pisał, kiedy wstawał rano o czwartej i godzinę czy dwie wystukiwał...

Musiało to wpływać na rytm dnia w domu.

Jak mówiłem, ze względu na swoje obowiązki nie miał czasu wtrącać się w sprawy domowe i pozostawiał wolną rękę kobietom. Ale w gruncie rzeczy wszystko było podporządkowane ułatwieniu ojcu sprawnego funkcjonowania. To znaczy: gdy przychodził do domu, miał być spokojny, żeby wypoczął; jak siedział i pisał, należało być cicho...

²² Zob. B. Markowska, *Moje spotkania z Profesorem* [w:] Jan Szczepański – humanista, uczony, państwowiec..., s. 37.

²³ Czyli w 1937 r.

Dzieci mogły to traktować jako pewne ograniczenie.

Nie, takie zasady się z łatwością znosiło, bo były zrozumiałe i oczywiste. Zresztą dzieci są w stanie wszystko przełknąć, kiedy włoży się w to odpowiednią pracę i czas, zamiast jakiegoś: „Cicho siedź, gnoju!”. Ja nie spotkałem się nawet u najoporniejszych z problemami, jeżeli się stopniowo wyrabiało pewne przekonania.

To ciągle ojcowskie pisanie przytłaczało Pana czy inspirowało? Bo rozumiem, że on sam nie zachęcał Pana do pracy naukowej.

Dzięki pozycji ojca mogłem zajmować się sprawami naukowymi w sposób wolny. Teraz w nauce jest tak – i fizyka też na tę przypadłość cierpi – że badania muszą być finansowane, a żeby były finansowane, to trzeba zdobyć punkty, a żeby zdobyć punkty, trzeba publikować w odpowiednich czasopismach, ale żeby tekst do takiego czasopisma został przyjęty, to musi spełniać określone warunki. I to nie tylko, powiedziałbym, formalno-merytoryczne, czyli że musi być porządnie napisany, ale, co więcej, nie może wykraczać poza to, w co wierzą recenzenci.

Musi być dopasowany do pewnego kanonu?

Tak. Wydawałoby się, że spośród nauk nakierowanych na świat zewnętrzny fizyka ma kanon najbardziej merytoryczny. I tak jest w teoriach szczegółowych, ale w podstawach fizyki się to rozmywa... A z drugiej strony, rzadko kto pamięta, że nasza cywilizacja techniczna mogła rozwinąć się dzięki paradygmatowi nauki, który wprowadził do szerokiego obiegu Newton. Newtonowski paradygmat polega na tym, że – w przeciwieństwie do teorii sprawozdawczych, takich jak kopernikański system heliocentryczny, oparty na tym, co się już zobaczyło – nauka pozwala nam przewidzieć to, czego jeszcze nie widzieliśmy. I to stanowiło siłę europejskiej cywilizacji technicznej, która dzięki temu górowała nad cywilizacją techniczną, powiedzmy, dalekowschodnią. Tamta opierała się wyłącznie na doświadczeniu bezpośrednim, a my czerpaliśmy wiedzę z naszych twórczych konstrukcji, które umieliśmy potem sprawdzać.

Czy właśnie możliwość weryfikacji – Popper powiedziałby raczej: falsyfikacji – hipotez zadecydowała o Pańskim oddaniu się fizyce?

Nie wiem, co przeważało, to mnie interesowało po prostu. Żeby wiedzieć, co jest naprawdę godne uwagi w nauce, to już trzeba być parę lat po doktoracie [*śmiech*].

Istnieją przecież fascynacje, które dopiero zachęcają do wnikliwszych badań...

Tak, zawsze chodzi o pragnienie wyjaśniania i rozumienia rzeczy. Na przykład pamiętam z dzieciństwa, że większość chłopców w moim wieku była wtedy zafascynowana parowozami, lokomotywami. Co w nich było wspaniałe: lokomotywy mają łatwo dostępny do obejrzenia cały mechanizm, który wprawia je w ruch – te tłoki i sposób, w jaki napęd jest przekazywany do kół – więc nietrudno zrozumieć, jak to działa. Z silnikiem samochodowym jest pod tym względem trochę gorzej. A lokomotywy już teraz w mało kim budzą takie emocje, chyba że ktoś ma zainteresowania historyczne.

I tu doszliśmy do powszechnej opinii, że nowe pokolenia nie rozumieją poprzedników, co możemy połączyć się z kwestią burzliwego okresu młodości i buntu dzieci przeciwko rodzicom. Czy pamięta Pan swój opór wobec jakichś decyzji albo cech charakteru ojca, które może dzisiaj Pan ceni, a wówczas Panu przeszkadzały?

Żadnych konfliktów nie było, ale pamiętam swój młodzięczy krytycyzm, nieracjonalny i emocjonalnie przesadny. Chodziło o błahostki, na przykład drażniło mnie u ojca cytowanie „Wiecha” czy przywoływanie (co miało być zabawne) językowych wykolejeń – teraz zresztą takie niepoprawne sformułowania docierają do nas zewsząd. Nie podobał mi się też sposób ubierania się ojca, to, że miał krawców, którzy mu szyli marynarki, ponieważ ja marynarkami gardziłem. Do niedawna jedynym garniturem, jaki posiadałem, był ten, w którym zdawałem maturę, więc coś mi z tamtych czasów zostało [*śmiech*].

À propos upodobań Pańskiego ojca, to czy zapadło Panu w pamięć jego zamiłowanie do jakichś prezentów, gestów, smakołyków albo innych drobiazgów, które go cieszyły?

Jeżeli chodzi o smakołyki, to mogę powiedzieć, że dla ojca dobre jedzenie stanowiło wielką przyjemność i mama zawsze starała się mu dogadzać. Na moje oko nie umiała zbyt dobrze gotować, jednak dodatkowo motywowały ją do tego urządzane w domu przyjęcia, które były po części – jak by się teraz powiedziało – *business dinners*. Z obowiązku należało przyjmować osoby związane zawodowo z ojcem, chociaż nie zawsze byli to ludzie atrakcyjni towarzysko, z którymi by się chciało spotkać z własnej woli.

W jaki sposób Pan odbierał te spotkania jako dziecko?

Opowiem może na przykładzie siostry, bo ona swoje podejście wyraźnie zmanifestowała już w wieku trzech czy czterech lat, kiedy jeszcze mieszkaliśmy

w Łodzi, niedaleko uniwersytetu. Mieszkanie na trzecim piętrze kamienicy na Narutowicza, w amfiladzie, z balkonem. Raz ówczesny szef mojego ojca, profesor Chałasiński, przyszedł na kolację z żoną, która powiesiła swoją torebkę na krześle, a siostra dyskretnie tę torebkę wyniosła do kuchni i wypchała kiszoną kapustą. Później usiłowała ją wyrzucić przez balkon na podwórze, ale torebka nie chciała przejść przez słupki balustrady, bo była wypchana kapustą. Siostra jednak przepchała ją na siłę, tak że sok z tej kapusty został dobrze wyciśnięty...

Przypuszczam, że pani Chałasińska unikała kolejnych wizyt w Państwa domu.

Chyba jednak nie miała wyboru, w każdym razie ze strony mojej siostry była to ewidentna próba buntu.

Jacy inni goście utkwili w Pana pamięci? W końcu takie spotkania odbywały się przez wiele lat, najpierw w Łodzi, a potem chyba jeszcze częściej w Warszawie i Konstancinie.

Doskonale pamiętam i z wielką sympatią wspominam socjologa Jasia Strzeleckiego, był niezwykle miłym i porządnym człowiekiem. Jaś został zasztytowany przez jakiegoś chuligana pod koniec lat osiemdziesiątych. Ponieważ działał trochę w opozycji, przez chwilę myślano, że ta śmierć ma podłoże polityczne, ale raczej to wykluczono.

Czy przysłuchiwał się Pan czasem rozmowom Pańskich rodziców z gośćmi?

Wcale, bo najpierw jako dziecko nie rozumiałem, o czym ci „starcy” bredzą, a potem miałem swoje zainteresowania i na przykład nauki humanistyczne nie wydawały mi się specjalnie godne uwagi, bo jest w nich tyle dowolności...

Polemizował Pan z ojcem na ten temat?

Nie, choć w późniejszym czasie próbowaliśmy toczyć rozmowy, kiedy ojciec przebywał w latach siedemdziesiątych na stypendium Aspen Institute²⁴ w Berlinie Zachodnim. Ponieważ mieszkał sam w dużym mieszkaniu, to mama postanowiła, że mnie tam wyśle, żebym znalazł z nim więcej wspólnego języka, pogłębił nasz kontakt. Rzeczywiście, kiedy byliśmy tam we dwójkę, okazji do pogawędek mieliśmy dużo, ale żeby prawdziwy kontakt się mógł nawiązać czy odrodzić, było już o dobrych kilkanaście, jeśli nie kilkadziesiąt lat za późno.

²⁴ Aspen Institute to międzynarodowe stowarzyszenie *non profit* założone w 1950 r., by organizować spotkania myślicieli, naukowców, dyplomatów i artystów z obu stron „żelaznej kurtyny” w celu dyskusowania nad ważkimi światowymi kwestiami społecznymi.

Czyli Panów drogi się rozeszły.

Siłą rzeczy, bo wybraliśmy kierunki, które po prostu nie dały się pogodzić. Na przykład moje zainteresowania filozoficzne były zupełnie innego rodzaju.

Pańskie grawitowały w stronę filozofii nauki?

Nie, byłem nawet swego czasu członkiem Polskiego Towarzystwa Filozoficznego w Sekcji Estetyki u Ingardena w Krakowie. To, jak tam trafiłem, też zresztą ma związek z Łodzią, mianowicie jednym z ówczesnych asystentów Strzeмиńskiego był Stanisław Fijałkowski, dobry grafik, chociaż obiekt kpín większości kolegów, bo źle widział kolory. Jednak grafiki robił czarno-białe i teraz są one dosyć cenne. Ten Fijałkowski mojej pierwszej żonie, a swojej studentce – bo ona też kończyła szkołę plastyczną w Łodzi, a miała pewne zainteresowania teoretyczne – polecił wtedy Ingardena. Ona się wciągnęła w jego poglądy estetyczne, mnie natomiast zaciekały problemy poruszane w *Sporze o istnienie świata*²⁵.

Kojarzę, był to głównie spór z Husserlem, mistrzem Ingardena...

Owszem, Ingardena uważa się za twórcę tzw. fenomenologii drugiej, bardziej realistycznej, w przeciwieństwie do idealistycznej Husserla. I to była moja filozofia, a dla ojca fenomenologia stanowiła tylko jedną z filozofii. Husserl oznaczał cegielkę konieczną dla kompletności jego wykształcenia, jednak ojciec nie był tymi zagadnieniami specjalnie zainteresowany²⁶.

Kiedy mówimy o filozofii, nasuwa się też pytanie o stosunek Pańskiego ojca do religii i o to, czy miał on jakieś przełożenie na sposób, w jaki Pana wychowywano.

Byłem wychowywany przez babkę, ale ze względu na pochodzenie jestem w jednej czwartej katolikiem, w połowie „lutrem”, w jednej ósmej prawosławnym i w jednej ósmej kalwinistą. Katolicy – nie ze względu na ojca, tylko na Montaigne’a – mają u mnie jako „heretyka” krechę, mimo że mój dziadek Poczobut był katolikiem. Kontreformacja jest dla mnie obciążona grzechem zawartym w słowach: „Zabijajcie wszystkich, Bóg rozpozna swoich”, jak zachęcał biskup Arnaud żołnierzy hrabiego de Montfort po zdobyciu Carcassonne²⁷. Ale z drugiej

²⁵ Warto dodać, że Anita Szczepańska jest autorką książki *Estetyka Romana Ingardena*, z kolei Artur Szczepański napisał posłowie do III tomu *Sporu o istnienie świata*.

²⁶ Wypada jednak nadmienić, że „Husserlowska nauka o znaczeniu” była tematem pracy magisterskiej, obronionej przez Jana Szczepańskiego w 1936 r.

²⁷ Wyprawa na Carcassonne była częścią krucjaty przeciwko albigensom; choć rzeczywiście zastąpiła ona z wielkiego okrucieństwa, historycy sprzecają się o autentyczność rzekomego powiedzenia biskupa.

strony takie uogólnienia są przecież bez sensu. A ojciec żadnego nacisku w sprawach religii nie wywierał. Jak się jechało do Ustronia²⁸ na śluby albo pogrzeby, to w tych rytuałach z całą powagą brało się udział. Dla mnie zawsze głównym motywem było nikomu nie sprawić przykrości, nikogo nie urazić.

Nacisku po Pańskim ojcu bym się nie spodziewała. Choćby z refleksji zawartych w jego dziennikach można wnioskować, że nie był w tych kwestiach dogmatyczny.

Nie stanowił też dla ojca problemu argument Spinozy. Streszczę go: wyobraźmy sobie istotę maksymalnie doskonałą. Musi ona istnieć, bo nieistnienie byłoby niedoskonałością. Jeżeli więc przyjąć, że Bóg ma być istotą doskonałą, to nie może nie istnieć. Na pierwszy rzut oka wynika z tego, jakoby niewiara wymagała silniejszej wiary od wiary... W każdym razie wydaje mi się, że ze względów wychowawczo-pragmatycznych, żeby przedwcześnie nie wpędzać mnie w kłopoty, masę spraw w domu nie poruszano. Właśnie po to, żeby mnie nie ukierunkować ani nie obciążać, zanim będę mógł mieć własne zdanie i odpowiedzialnie decydować. Mało powiedziane, że jestem za to wdzięczny – dzięki postawie ojca mogłem zajmować się nauką w sposób wolny, nieobciążony taką czy inną ideologią.

Kojarzy mi się od razu „wolna szkoła nauk”, o której marzył Pański ojciec²⁹. Natomiast kwestia ideologii przypomina o rozmaitych zależnościach, w jakie w minionym ustroju uwikłana była wszelka działalność naukowa i publiczna. Pański ojciec zmagał się z tymi realiami choćby jako rektor w Łodzi, kiedy walczył o socjologię, która została uznana za „naukę burżuazyjną”. Mimo że władza forsowała swoje niezbyt sensowne pomysły, on próbował już w okresie stalinowskim ratować autonomię nauki i uniwersytetu. Czy tamte nerwowe czasy jakoś odbijały się na domowym życiu?

Oczywiście ojciec wracał niekiedy bardzo zmęczony psychicznie i było wiadomo, że trzeba dać mu spokój, mama dbała, żeby mógł odpocząć. Ale ze względu na to, że myśmy wojnę przeszli w Wiedniu, nie był „obciążony” udziałem w krajowym ruchu oporu, który potem był przez „opryczninę” zwalczany. Tak więc miał pewną i psychiczną, i faktyczną swobodę, a co więcej, potrafił na

²⁸ Świadomie użyta forma gwarowa.

²⁹ „A może uda nam się zrealizować kiedyś jeszcze jedno marzenie: wolną szkołę nauk filozoficznych i społecznych w Ustroniu” – J. Szczepański, *Dzienniki z lat 1935–1945...*, s. 108 (notatka z 8.01.1940 r.).

przykład wymóc na Moczarze – który po wojnie był szefem łódzkiego UB i który chciał zabrać uniwersytetowi budynek z aulą – żeby tego budynku nie ruszał.

W późniejszych czasach Pański ojciec pełnił już nie tylko funkcje na uniwersytecie, ale także wiele politycznych: jako poseł, członek Rady Państwa, przewodniczący Komitetu Ekspertów do sporządzenia raportu o stanie oświaty... Czy był Pan chcąc nie chcąc w to mieszany, na przykład przez osoby proszące Pana o wstawiennictwo, żeby coś ojcu zasugerować, polecić mu kogoś?

Nie, w sprawach merytorycznych nie. Ale na przykład moim dobrym kolegą jeszcze ze szkoły podstawowej był syn generała Witaszewskiego, który ukończył architekturę i był jednym z budowniczych osiedla Ursynów w Warszawie. W tamtych latach wszelkie decyzje dotyczące materiałów, pozwoleń itd. zapadały odgórnie, więc ojciec interweniował u ministra gospodarki, swojego uniwersyteckiego kolegi, żeby coś – już nie pamiętam, o co chodziło – dla budowniczych załatwić. Dzięki temu robota mogła szybko ruszyć z miejsca. To byłby przykład zasług ojca czy wykorzystania możliwości wynikających z bycia osobą publiczną, która poruszała się w kręgu władz, ale jednak nie działała „po linii”. Te publiczne funkcje były jakąś konsekwencją jego ambicji, a dzięki swoim zdolnościom, pracy, umiejętności organizacji i postępowania z ludźmi w sytuacjach konfliktowych zrobił taką trochę amerykańską karierę *self-made mana*. Też dzięki korzeniom, bo przecież ustróniokóm i ludziom z Cieszyńskiego, z Zaolzia, zależy na tym, żeby robota była zrobiona porządnie. To jest – czy przynajmniej do niedawna był – ten słynny etos.

Etos cieszyński czy – według niektórych – protestancki... Swoją drogą, można odnieść wrażenie, że tamtejsi protestanci chętnie by Pańskiego ojca kanonizowali.

Tak, jako „wybitnego syna ziemi...” itd. Zostało to przeze mnie wykorzystane w ten sposób, że postanowiłem, żeby właśnie tam przekazać wszystkie pamiątki po ojcu i załatwiać wszystkie sprawy z nimi związane, bo mam pewność, że tam nie dojdzie do zaniedbań.

Zapewne ma Pan na myśli także publikację jego dzienników. Frapuje mnie, czy uzyskał Pan do nich dostęp dopiero po jego śmierci, czy też były one Panu znane już wcześniej.

Nie pamiętam, żebym miał z nimi wcześniej kontakt, może z fragmentami, ale tak poważnie wszystko zaczęło się od profesora Daniela Kadłubca, który się nimi bardzo zainteresował, za co oczywiście jestem mu wdzięczny. Uważam,

że było dobrą decyzją, żeby nie wydawać tych zapisków w Warszawie, bo tu by się to rozmieniło na drobne. Są tu też osoby niechętne ojcu z tego prostego względu, że był szefem instytutu³⁰, decydował o wielu sprawach i – jak każdy szef, niezależnie od swojej postawy czy zasług – niejednemu się naraził.

Niejednokrotnie dla obrony wspomnianej już autonomii podejmował też decyzje, które mogły nie podobać się władzom. Czy w związku z tym Pan i Pańska matka nie obawiali się czasem o ojca?

Pamiętam, że w 1968 roku przez ładnych kilka dni siedzieliśmy w domu na walizkach, bo wszyscy się bali, że ojciec nie pozwolił wyrzucić z instytutu jakiegoś człowieka o żydowskim pochodzeniu, który był dobrym pracownikiem, więc lada chwila ktoś nas może wyprosić...

Nie był to chyba jedyny nerwowy moment. Już w 1956 roku Pana ojciec brał udział jako biegły w procesie, broniąc robotników z Poznania, no a na początku lat osiemdziesiątych należał do Rady Państwa...

Ten poznański Czerwiec też oznaczał chwile [„Czerwiec” wielką literą wg słownika ort. PWN] pełne napięcia, ale byłem wtedy dużo młodszy i dla mnie były to na pół abstrakcyjne wydarzenia w świecie dorosłych. A potem z kolei już nie mieszkalem z rodzicami, więc tak bezpośrednio mnie to nie angażowało.

A gdyby spojrzeć globalnie na te późniejsze lata, kiedy już Pan się ożenił i wyprowadził, to jaką sytuację związaną z ojcem, pomimo niezbyt głębokich kontaktów, wspomina Pan najmilej?

Ten pobyt w Berlinie był jednak okazją do pewnego zbliżenia. Kiedyś też ojciec zabrał mnie w związku z uczestnictwem w Aspen Institute do samego Aspen – to był jedyny raz, kiedy odwiedziłem Stany. Pamiętam zabawną historię, co prawda nie dotyczy mojego ojca wprost, ale lecieliśmy z wybrzeża wschodniego do Denver i obok nas w samolocie siedzieli dwaj zakonnicy. Nawiązała się rozmowa, jedno z pierwszych pytań to oczywiście: „A skąd pan jest?”, odpowiedź: „Z Polski”, a oni: „Ach, z Europy! Co słysząc na Sycylii?”.

To by się zgadzało z potocznym mniemaniem o tym, jak Amerykanie postrzegają resztę świata. A jaki charakter miał Panów pobyt w Aspen?

Idea Aspen Society polegała głównie na tym, że intelektualiści wschodnioeuropejscy byli zapraszani do udziału we wspólnym projekcie, wspólnych obradach. Chodziło o to, żeby tutaj zmieniać postawy, żeby naukowcy stąd mieli kontakt

³⁰ Chodzi o Instytut Filozofii i Socjologii PAN, z którym Jan Szczepański był związany w latach 1955–1982.

z naukowcami zachodnimi. To samo my teraz staramy się robić na przykład dla Ukrainy... A wracając do mojego ojca, już byłem dorosły, całkowicie ukształtowany, miałem swoje sprawy i nasze kontakty w Aspen polegały na tym, że ja tam pichciłem. Mieszkaliśmy w hotelowym apartamencie z kuchnią, więc można było kilka osób zaprosić i ugościć.

Choć Panowie się różnili, to przecież trudno zaprzeczyć jednemu Panów podobieństwu, mianowicie pod względem wyglądu. Czy miał Pan jakąś zabawną lub krępującą sytuację związaną z tym podobieństwem?

Zawsze tak było, że kto mnie po dłuższej przerwie oglądał, oczywiście stwierdzał, że jestem fizycznie bardzo do niego podobny. Irena Laskowska, zaprzyjaźniona z nami aktorka (grała w kultowym filmie Konwickiego *Ostatni dzień lata*), kończyła Wyższą Szkołę Teatralną w Łodzi, gdzie ojciec miał wykłady. I zdarzyło się Irencie – chyba kilka razy – że na pierwszy rzut oka pomyślała na mój widok: „O, przyszedł pan profesor”.

Tak czy inaczej, Pański ojciec stale jest w jakiś sposób obecny... Dziękuję bardzo za podzielenie się tymi wspomnieniami.

Rozmowa odbyła się 29.03.2015 r. w Konstancinie